



Mario Puzo

Omerla

Prolog

1967

W kamiennym miasteczku Castellammare del Golfo na Sycylii, zwróconym ku ciemnemu Morzu Śródziemnemu, leżał na łożu śmierci wielki mafijny don. Vincenzo Zeno był człowiekiem honoru, którego przez całe życie kochano za sprawiedliwość i bezstronność w wyrokach, pomoc potrzebującym oraz nieubłagane karanie tych, którzy ośmielili się sprzeciwić jego woli.

Znajdowali się przy nim trzej jego dawni uczniowie, z których każdy sam zdobył później władzę i sławę: Raymonde Aprile z Nowego Jorku, Octavius Bianco z Palermo oraz Benito Craxxi z Chicago. Każdy był mu winien ostatnią przysługę.

Don Zeno był ostatnim z prawdziwych szefów mafii, którzy przez całe życie hołdowali starym tradycjom. Wymuszał opłaty od wszystkich firm, nigdy jednak nie czerpał zysków z narkotyków ani prostytucji. Nigdy też biedak, który przyszedł do jego domu po pieniądze, nie wyszedł z pustymi rękami. Don Zeno naprawiał niesprawiedliwości prawa — najwyższy sędzia na Sycylii mógł wydać swoje orzeczenie, ale jeżeli racja była po twojej

stronie, don Zeno sprzeciwiał się wyrokowi siłą własnej woli i oręża.

Żaden flirtujący młodzieniec nie mógł zostawić na lodzie córki biednego wieśniaka, nie ryzykując interwencji don Zena, który przekonywał go do zawarcia świętego związku małżeńskiego. Żaden bank nie mógł wnieść zastrzeżenia hipotecznego wobec bezradnego farmera, nie ryzykując interwencji don Zena, który doprowadzał wszystko do porządku. Żaden młody chłopak łaknący wykształcenia uniwersyteckiego nie mógł być go pozbawiony z powodu braku pieniędzy bądź nawet uzdolnień. Jeżeli byli związani z jego *coscą*, ich marzenia się spełniały. Prawa z Rzymu nie mogły ignorować sycylijskich tradycji i tutaj nie miały znaczenia; don Zeno unieważniłby je bez względu na koszt.

Lecz w ostatnich paru latach jego wpływy zaczęły maleć, on sam zaś w chwili słabości poślubił młodą dziewczynę, która urodziła wspaniałego chłopca. Zmarła przy porodzie, a chłopiec miał teraz dwa lata.

Stary don, wiedząc, że koniec jest blisko i że bez niego jego *cosca* zostanie starta na proch przez potężniejsze *coski* Corleonich i Clericuziów, rozważał przyszłość syna.

Wezwał trzech przyjaciół do swego łóża boleści, ponieważ miał do nich ważną sprawę i prośbę, lecz najpierw podziękował im za uprzejmość i szacunek, jakie okazali, przebywając tysiące kilometrów. Powiedział, że pragnie, aby jego mały syn Astorre został zabrany w bezpieczne miejsce i wychowany w innych warunkach, ale w tradycji człowieka honoru, jak on sam.

— Mogę umrzeć z czystym sumieniem — rzekł, choć jego przyjaciele wiedzieli, że w swym życiu zdecydował o śmierci setek ludzi — jeżeli zapewnię mojemu synowi bezpieczeństwo. Bo w tym dwulatkę dostrzegam serce i duszę prawdziwego mafiosa, cechę rzadką i zanikającą.

Wyjaśnił, że jednego z nich wybierze do roli opiekuna tego niezwykłego dziecka, a wraz z podjęciem tej odpowiedzialności przyjdą wielkie nagrody.

— To dziwne — powiedział don Zeno, spoglądając na nich zaszępionym wzrokiem. — Zgodnie z tradycją to właśnie pierwszy syn jest prawdziwym mafiossem. Ale ja dopiero w osiemdziesiątym roku życia mogłem ziścić swoje marzenie. Nie jestem człowiekiem przesadnym, ale gdybym był, mógłbym sądzić, że to dziecko wyrosło wprost z sycylijskiej ziemi. Jego oczy są zielone jak oliwki, które pojawiają się na moich najlepszych drzewach. Ma również sycylijską wrażliwość, jest romantyczny, muzykalny, radosny. Jeżeli ktoś go obrazi, nie zapomina, choć jest taki mały. Trzeba nim jednak pokierować.

— Czego więc życzysz sobie, don Zeno? — zapytał Craxxi. — Bo ja z przyjemnością zabiorę twoje dziecko i wychowam jak własne.

Bianco z urazą niemal popatrzył na Craxxiego.

— Znam tego chłopca od urodzenia. Nie jestem mu obcy. Będę go traktował jak własnego syna.

Raymonde Aprile spojrzał na don Zena, lecz nic nie rzekł.

— A ty, Raymonde? — zapytał don Zeno.

— Jeżeli właśnie mnie wybierzesz, twój syn będzie moim synem.

Don brał pod uwagę całą trójkę zacnych ludzi. Craxxiego z pewnością uważał za najinteligentniejszego. Bianco z pewnością był najbardziej ambitny i najgwałtowniejszy. Raymonde Aprile to człowiek bardziej powściągliwy i prawy, bardziej zamknięty w sobie, ale bezlitosny.

Don Zeno, nawet umierając, rozumiał, że właśnie Raymonde najbardziej z nich potrzebuje dziecka. Najwięcej skorzystałby na jego miłości i dopilnował, żeby jego syn nauczył się, jak przeżyć w zdradliwym świecie.

Długo milczał. W końcu rzekł:

— Raymonde, będziesz jego ojcem. A ja mogę odpoczywać w pokoju.

Pogrzeb don Zena był godny cesarza. Wszyscy szefowie mafijnych rodzin na Sycylii, członkowie gabinetu z Rzymu, właściciele wielkich posiadłości ziemskich oraz setki poddanych jego *coski* przybyli złożyć hołd zmarłemu.

Na wysokim siedzeniu ciągniętego przez kare konie karawanu, majestatycznie, niczym rzymski cesarz, jechał Astorre Zeno, dwuletni chłopczyk o płomiennych oczach, ubrany w czarny surdut i czarny toczek.

Nabożeństwo odprawił osobiście kardynał z Palermo.

— W chorobie i w zdrowiu, w nieszczęściu i rozpacz don Zeno pozostał dla wszystkich prawdziwym przyjacielem — oznajmił dla przypomnienia, po czym z odpowiednią intonacją przytoczył ostatnie słowa don Zena: „Bogu siebie powierzam. On wybaczy mi moje grzechy, albowiem codziennie starałem się być sprawiedliwy”.

Tak więc Raymonde Aprile zabrał Astorre Zena do Ameryki i uczynił go częścią własnej rodziny.

Rozdział 1

1995

Gdy bliźniacy Franky i Stace Sturzwowie zajechali pod dom Heskowa, ujrzeli czterech bardzo wysokich nastolatków grających w koszykówkę na małym przydomowym boisku. Bracia wysiedli z potężnego buicka. John Heskow wyszedł im na spotkanie. Był wysokim mężczyzną o gruszkowatych kształtach. Rzadkie włosy zgrabnie okalały mu łysinę na czubku głowy, a małe błękitne oczy błyszczały.

— W samą porę — rzekł. — Jest tu ktoś, kogo powinniście poznać.

Mecz został przerwany. Heskow dumnie dodał:

— To mój syn Jocko. — Najwyższy z nastolatków wyciągnął wielką rękę do Franky'ego.

— Hej, a może zagrałibyście z nami krótki mecz? — zaproponował Franky.

Jocko popatrzył na dwóch gości ojca. Mieli blisko sześć stóp wzrostu i wydawało się, że są w dobrej formie. Obaj nosili koszulki polo od Ralpho Laurena — jeden czerwoną, a drugi zieloną — oraz spodnie khaki i buty na kauczukowej podeszwie. Byli sympatycznie wyglądającymi przystojnymi mężczyznami o ostrych rysach twarzy, zastygłych w wyrazie

wdzięcznej pewności siebie. Rzuciło się w oczy, że są braćmi, ale Jocko nie mógł wiedzieć, iż to bliźniacy. Oceniał ich na niewiele ponad czterdzieści lat.

— Oczywiście — odparł z chłopięcą życzliwością.

Stace uśmiechnął się szeroko.

— Wspaniale! Przejechaliśmy pięć tysięcy kilometrów i musimy się odprężyć.

Jocko skinął na swych mających grubo ponad metr osiemdziesiąt stóp kompanów i powiedział:

— Zagram z nimi przeciwko wam trzem. — Ponieważ był graczem znacznie lepszym od nich, wydawało mu się, że to da szansę znajomym ojca.

— Potraktujcie ich ulgowo — rzekł John Heskow do chłopaków. — To tylko starzy, źle prowadzący się faceci.

Był środek grudniowego popołudnia, a powietrze dostatecznie chłodne, by pobudzić krążenie krwi. Zimne, charakterystyczne dla Long Island, bladożółte światło słońca błyskało na szklanych dachach i ścianach oranżerii Heskowa, jego oficjalnego przedsięwzięcia.

Młodzi kumple Jocka byli dobroduszni i grali tak, aby dać fory starszym mężczyznom. Lecz nagle Franky i Stace zaczęli śmigać obok nich, gotując się do rzutów spod tablicy. Jocko stanął zdumiony szybkością czterdziestolatków; potem rezygnowali z rzutów i podawali piłkę jemu. Nigdy nie rzucali spoza „trumny”. Wydawało się, że za punkt honoru stawiają sobie uwolnienie się zwodem do swobodnego rzutu spod tablicy.

Ich przeciwnicy zaczęli wykorzystywać przewagę wzrostu, żeby obejść obronę starszych mężczyzn, ale dość nieoczekiwanie zaliczali niewiele zbiórek. W końcu jeden z chłopców zdenerwował się i mocno trącił Franky’ego łokciem w twarz. Nagle chłopak znalazł się na ziemi, a Jocko, obserwujący całą sytuację, nie bardzo wiedział, jak

do tego doszło. Wtedy jednak Stace trafił brata piłką w głowę i powiedział:

— Daj spokój i graj, dupku jeden.

Franky pomógł chłopcu wstać, poklepał go po pośladkach i rzekł:

— Przepraszam. — Grali jeszcze przez blisko pięć minut, ale starsi mężczyźni byli już wyraźnie zmęczeni i chłopcy nie pozwalali im przechwycić piłki. W końcu bracia dali za wygraną.

Heskow przyniósł im na boisko napoje gazowane, a nastolatkwie otoczyli Franky'ego. Miał charyzmę i zademonstrował profesjonalne umiejętności. Franky objął chłopca, którego przed chwilą zwałił z nóg. Potem, gdy się rozstawali, posłał im uśmiech światowca, sympatycznie przyklejony do kanciastej twarzy.

— Przyjmijcie, panowie, parę rad od starego wyjadacza. Nigdy nie dryblujcie, gdy można podać. Nigdy nie rezygnujcie z walki, gdy w czwartej kwarcie macie dwadzieścia punktów straty. I nigdy nie zadawajcie się z kobietą, która ma więcej niż jednego kota.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Franky i Stace uścisnęli im ręce i podziękowali za grę, po czym weszli z Heskowem do ładnego, okolonego zielenią domu.

— Dobrze gracie, panowie! — zawołał za nimi Jocko.

John Heskow zaprowadził braci do przygotowanego dla nich pokoju na piętrze. Gdy otworzył drzwi, wpuścił ich do środka i zamknął je za sobą, zauważyli, że są grube i mają porządny zamek.

Był to duży pokój, a właściwie apartament z łazienką. Stały w nim dwa pojedyncze łóżka. Heskow wiedział, że bliźniacy lubią spać w jednym pokoju. W kącie znajdował się wielki kufer. Był opasany stalowymi taśmami i

zaopatrzony w ciężką metalową kłódkę. Heskow otworzył ją kluczem i gwałtownie podniósł wieko. Ukazało się kilka pistoletów, automatów i skrzynek z amunicją, wyglądających jak szereg czarnych figur geometrycznych.

— Czy to wystarczy? — zapytał Heskow.

— Nie ma tłumików — stwierdził Franky.

— Do tej roboty nie będą wam potrzebne.

— To dobrze — odparł Stace. — Nie znoszę tłumików. Z tłumikiem nie umiem w nic trafić.

— Okay. Weźcie prysznic i rozgośćcie się, a ja pozbędę się chłopców i ugotuję kolację. Co sądzicie o moim synu?

— Bardzo miły chłopiec — odparł Franky.

— A jak się wam podoba jego gra? — zapytał gospodarz z rumieńcem dumy, dzięki któremu jeszcze bardziej przypominał dojrzałą gruszkę.

— Nadzwyczajna — stwierdził Franky.

— A ty, Stace, co o niej sądzisz?

— Niesamowita.

— Ma stypendium do Villanovy — rzekł Heskow. — I otwartą drogę do NBA.

Gdy bliźniacy zeszli do salonu, Heskow już czekał z kolacją. Przyrządził cielecinę *sauté* z grzybami i wielką ilością zielonej sałaty. Czerwone wino stało na stole.

Zasiedli we trójkę do posiłku. Byli starymi przyjaciółmi i znali swoje życiorysy. Heskow od trzynastu lat był rozwiedziony. Jego ekszona i Jocko mieszkali kilka kilometrów na zachód, w Babylon. Lecz syn stale go odwiedzał, a Heskow pozostawał wiernym i kochającym ojcem.

— Mielicie przyjechać jutro rano. Gdybym wiedział, że zjawicie się dzisiaj, pozbyłbym się dzieciaka. Po waszym

telefonie nie mogłem już go wyrzucić razem z jego kumplami.

— Nic się nie stało — uspokoił go Franky. — To bez znaczenia.

— Dobrze sobie z nimi radziliście — zauważył Heskow.

— Nigdy nie zastanawiacie się, czy nie zrobilibyście kariery wśród zawodowców?

— Nie — odparł Stace. — Byliśmy za niscy, tylko sto osiemdziesiąt centymetrów. Asfalty były dla nas za wysokie.

— Nie mów takich rzeczy przy chłopaku — rzekł przerażony Heskow. — On musi z nimi grać.

— Ależ nie — zachnął się Stace. — Nigdy bym tego nie zrobił.

Heskow odprężył się i wypił mały łyk wina. Zawsze lubił pracować z braćmi Sturzo. Obaj byli tacy towarzyscy, nigdy nie robili się nieprzyjemni, jak większość mętów, z którymi musiał mieć do czynienia. Poruszali się w świecie ze swobodą, która odzwierciedlała swobodę w ich wzajemnych braterskich stosunkach. Czuli się bezpiecznie i przyjemnie promienieli tym uczuciem.

Cała trójka jadła powoli i niedbale. Heskow dokładał na talerze prosto z patelni.

— Zawsze chciałem cię zapytać, dlaczego zmieniłeś nazwisko — wyznał Franky.

— To było dawno temu — odparł Heskow. — Nie wstydziłem się, że jestem Włochem, ale wiesz, wyglądam jak jakiś Szwab. Blond włosy, błękitne oczy, no i ten nos. Moje włoskie nazwisko wydawało się naprawdę podejrzanе.

Obaj roześmiali się; ich śmiech był swobodny, wyrozumiały. Wiedzieli, że łyże jak pies, ale to im nie przeszkadzało.

Gdy zjedli sałatę, Heskow przyniósł świeżo zaparzone podwójne espresso i wyciągnął talerz z włoskimi ciastami.

Zaproponował cygara, ale odmówili. Byli wierni swoim marlboro, które pasowały do ich wyrazistych jak z westernu twarzy.

— Czas przejść do interesów — rzekł Stace. — To musi być duża robota, bo inaczej po co mielibyśmy przejeżdżać pieprzonych pięć tysięcy kilometrów? Mogliśmy polecieć samolotem.

— Nie było tak źle — wtrącił Franky. — Podobało mi się. Zobaczyliśmy Amerykę na własne oczy. Dobrze się bawiliśmy. Ludzie w małych miastach byli wspaniali.

— Nadzwyczajni — przyznał Stace. — Ale mimo wszystko to szmat drogi.

— Nie chciałem zostawiać żadnych śladów na lotniskach, to pierwsze miejsce, jakie sprawdzają — wyjaśnił Heskow. — A będzie gorąco. Wam, chłopaki, to nie przeszkadza?

— Mnie ani trochę — rzekł Stace. — No więc kto to, kurwa, jest?

— Don Raymonde Aprile — rzekł Heskow i mówiąc to, omal nie udławił się kawą.

Zapadła długa cisza i wtedy po raz pierwszy Heskow wychwycił chłód śmierci, którym potrafili emanować bliźniacy.

— Kazałeś się nam tłuc taki kawał drogi, żeby zaproponować tę robotę? — zapytał spokojnie Franky.

Stace uśmiechnął się do gospodarza i powiedział:

— John, znajomość z tobą była bardzo miła. A teraz po prostu zapłać nam za uśmiercenie pomysłu i spadamy. — Obaj bracia roześmiali się z tego drobnego żartu, ale Heskow go nie zrozumiał.

Jeden z przyjaciół Franky'ego w Los Angeles, niezależny publicysta, tłumaczył kiedyś bliźniakom, że choć magazyn może mu pokryć koszty napisania artykułu, wcale nie musi go kupić. Po prostu zapłaci drobną część uzgodnionego

honorarium, by uśmiercić tekst. Bliźniacy przyswoili sobie ten zwyczaj. Liczyli za samo wysłuchanie propozycji. W tym wypadku, z powodu długiej podróży i wciągnięcia ich obu, zapłata za uśmiercenie pomysłu wynosiła dwadzieścia tysięcy.

Zadaniem Heskowa było jednak przekonanie ich do przyjęcia zlecenia.

— Don od trzech lat jest na emeryturze — powiedział. — Wszyscy jego dawni znajomi siedzą w więzieniu. On już nie ma żadnej władzy. Jedyńm człowiekiem, który mógłby nam przysporzyć kłopotów, jest Timmona Portella, ale tego nie uczyni. Zarobicie milion dolców, połowę po robocie, a drugą za rok. Ale przez ten czas nie możecie rzucać się w oczy. Wszystko jest przygotowane. Wy musicie tylko pociągnąć za spust.

— Milion dolarów — zauważył Stace — To kupa forsy.

— Mój klient wie, że sprzątnięcie don Aprilego to spory wyczyn. Potrzebuje najlepszego wsparcia. Opanowanych strzelców i cichych, dojrzałych wspólników. A wy jesteście po prostu najlepsi — wyjaśnił Heskow.

— I niewielu jest gości, którzy zaryzykowałiby w ten sposób — dodał Franky.

— Owszem — potwierdził Stace. — Musisz z tym żyć przez resztę swoich dni. Pościg, plus gliny i agenci federalni.

— Przysięgam wam, że tą sprawą zajmie się tylko paru nowojorskich policjantów, a FBI nie będzie ingerować — powiedział Heskow.

— A dawni przyjaciele? — zapytał Stace.

— Nieboszczycy nie mają przyjaciół. — Heskow zawahał się przez chwilę. — Don wycofał się trzy lata temu, zerwał wszelkie kontakty. Nie ma się czego obawiać.

— Czy to nie zabawne? We wszystkich naszych transakcjach zawsze nam mówią, że nie ma się czego

obawiać — rzekł Franky do brata.

Stace roześmiał się.

— To dlatego, że nie są strzelcami. John, jesteś starym przyjacielem. Ufamy ci, ale jeżeli się mylisz? Każdy może się mylić. A jeśli don nadal ma przyjaciół? Przecież wiesz, jak on działa. Bez litości. Nie zostaniemy po prostu zabici. Ukrzyżują nas. Najpierw spędzimy parę godzin w piekle. W dodatku na mocy jego prawa zagrożone są nasze rodziny. To oznacza, że twój syn również. W grobie nie będzie mógł grać w NBA. Może powinniśmy się dowiedzieć, kto za to płaci.

Heskow pochylił się ku nim, jego jasna skóra przybrała purpurowy kolor, jakby się zarumienił.

— Wiecie, że tego nie mogę wam powiedzieć. Jestem tylko pośrednikiem. I myślałem o całym tym gównie. Uważacie, że jestem takim pieprzonym idiotą? Kto nie zna don Aprilego? Ale on jest teraz bezbronny. Zapewniono mnie o tym na najwyższych szczeblach. Policja będzie tylko udawać, że coś robi. FBI nie może sobie pozwolić na śledztwo. A szefowie mafii nie będą się wtrącać. Włos nie spadnie nam z głowy.

— Nigdy mi się nie śniło, że don Aprile będzie jednym z moich celów — stwierdził Franky. Taki czyn poruszał ego. Zabić człowieka, który wzbudzał taki strach i szacunek w swoim świecie.

— Franky, to nie jest mecz koszykówki. W razie przegranej nie będzie tak, że podajemy sobie ręce i schodzimy z boiska — przestrzegł Stace.

— Stace, chodzi o milion dolców. A John nigdy nas nie wpuścił w maliny. Zdecydujemy się na to.

Stace czuł, jak rośnie ich podniecenie. Psiakrew! On i Franky potrafiliby zadbać o swoje bezpieczeństwo. Ostatecznie chodziło o milion dolarów. Prawdę

powiedziawszy, Stace był bardziej wyrachowany, bardziej interesowny i ten milion go podniecił.

— W porządku — rzekł — wchodzimy w to. Ale niech Bóg zlituje się nad naszymi duszami, jeżeli się mylisz. — Kiedyś był ministrantem.

— A jeśli don jest pod nadzorem FBI? Mamy się tym martwić? — zapytał Franky.

— Nie — odparł Heskow. — Gdy wszyscy jego dawni przyjaciele trafili do mamra, don wycofał się jak dżentelmen. FBI doceniło ten gest. Dali mu spokój. Ręczę za to. A teraz pozwólcie, że przedstawię wam plan.

Wyjaśnienie zajęło mu pół godziny. Bliźniacy słuchali.

— Kiedy? — zapytał w końcu Stace.

— W niedzielę rano. Przez pierwsze dwa dni zostajecie tutaj. Później odlatujecie prywatnym samolotem z Newark.

— Musimy mieć bardzo dobrego kierowcę — powiedział Stace. — Kogoś wyjątkowego.

— Ja poprowadzę — rzekł Heskow, potem zaś, niemal usprawiedliwiająco dodał: — To bardzo duża wypłata.

Przez następne dni Heskow opiekował się braćmi Sturzo, gotując im posiłki i załatwiając sprawunki. Trudno było zrobić na nim wrażenie, ale Sturzowie czasami mrozili mu serce. Przypominali żmije, stale mieli się na baczności, a mimo to byli sympatyczni i nawet pomagali mu pielęgnować kwiaty w oranżerii.

Tuż przed kolacją bracia grali w koszykówkę jeden na jednego i Heskow jak urzeczony patrzył, gdy ich ciała ocierały się o siebie niczym węże. Franky był szybszy i miał nadzwyczaj celny rzut. Stace nie był taki dobry, ale przejawiał więcej sprytu. Heskow pomyślał, że to właśnie Franky mógłby dostać się do NBA. Ale tutaj nie chodziło o

mecz koszykówki. W naprawdę krytycznej sytuacji strzelcem musiałby być Stace. On wystąpiłby w głównej roli.

Rozdział 2

Z wielkiego nalotu na rodziny mafijne w Nowym Jorku w latach dziewięćdziesiątych ocalało tylko dwóch mafiosów. Don Raymonde Aprile, najpotężniejszy i wzbudzający największy strach, wyszedł nietknięty. Drugi ocalały, don Timmona Portella, który niemal dorównywał mu potęgą, lecz był znacznie pośledniejszym człowiekiem, uniknął kary przez, jak się wydawało, czysty przypadek.

Lecz przyszłość była jasna. Wobec ustaw o gangsterskich organizacjach przestępczych (RICO), tak niedemokratycznie wprowadzonych w 1970 roku, gorliwości zespołów śledczych FBI oraz uśmiercenia wiary w *omertà* wśród żołnierzy amerykańskiej mafii, don Raymonde Aprile zrozumiał, że nadszedł czas, by z wdziękiem zejść ze sceny.

Don rządził swą Rodziną przez trzydzieści lat i był teraz legendą. Wychowany na Sycylii, nie miał fałszywych wyobrażeń o sobie ani wyniosłej arogancji szefów mafii urodzonych w Ameryce. W rzeczywistości stanowił wcielenie pierwotnych cech Sycylijczyków z XIX wieku, którzy rządzili miastami i wioskami dzięki osobistej charyzmie, poczuciu honoru oraz nieubłaganemu i ostatecznemu osądzaniu każdego podejrzanego o wrogie

zamiary. Dowiódł również, że dorównuje tym dawnym bohaterom talentem strategicznym.

Obecnie, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, wiódł uporządkowane życie. Pozbył się wrogów i wypełniał obowiązki przyjaciela i ojca. Z czystym sumieniem mógł się cieszyć starością, odseparować od zwad swego świata i wejść w stosowniejszą rolę nobliwego bankiera i filaru społeczeństwa.

Troje jego dzieci skryło się bezpiecznie za parawanem udanych i uczciwych karier zawodowych. Najstarszy syn Valerius, obecnie czterdziestoletni, mający żonę i dzieci, był pułkownikiem w armii Stanów Zjednoczonych i wykładał w West Point. O jego karierze zadecydowała nieśmiałość w dzieciństwie. Don zapewnił mu miejsce w szkole kadetów w West Point, żeby naprawić tę wadę jego charakteru.

Drugi syn, Marcantonio, wcześniej, bo w wieku trzydziestu ośmiu lat, został — zapewne wskutek jakiejś tajemniczej zmiany w układzie genów — dyrektorem krajowej stacji TV. Jako chłopiec był markotny i żył w świecie fikcji, ojciec zatem sądził, że nie podoła on żadnemu poważnemu przedsięwzięciu. Teraz często pojawiał się w gazetach jako twórczy wizjoner, co sprawiało don Aprilemu przyjemność, ale go nie przekonywało. Ostatecznie był ojcem chłopca. Czyż nie znał go najlepiej?

Córkę don Raymonde, Nicole, w dzieciństwie nazywano czule Nikki, ale na jej własne żądanie w wieku lat sześciu zaczęto zwracać się do niej pełnym imieniem. Ją lubił najbardziej ze swoich dzieci. Mając trzydzieści dwa lata, była pełnomocnikiem prawnym spółek, feministką oraz adwokatem *pro bono* tych biednych i zrozpaczonych przestępców, którzy inaczej nie mogliby sobie pozwolić na odpowiednią obronę prawną. Szczególnie skutecznie ratowała morderców od krzesła elektrycznego, zabójczynie

mężów od zamknięcia w więzieniu, a notorycznych gwałcicieli od wyroków dożywocia. Bezwzględnie sprzeciwiała się karze śmierci, wierzyła w resocjalizację każdego kryminalisty i była surowym krytykiem struktury gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Sądziła, że kraj tak bogaty jak Ameryka nie powinien być obojętny na los biednych, bez względu na ich wady. Przy tym wszystkim Nicole była bardzo wprawnym i twardym negocjatorem reprezentującym interesy spółek, kobietą imponującą i energiczną. Don nie zgadzał się z nią w niczym.

Jeśli chodzi o Astorre, to należał do jego rodziny i był mu najbliższy jako tytułarny bratanek. A pozostałym wydawał się rodzonym bratem, z uwagi na swą wielką żywotność i urok. Od drugiego do szesnastego roku życia — aż do emigracji na Sycylię przed jedenastoma laty — był ich serdecznym, ukochanym najmłodszym braciszkiem.

Don starannie zaplanował własną emeryturę. Rozdzielił swoje imperium, żeby zjednać sobie potencjalnych wrogów, ale również złożył daninę lojalnym przyjaciółom, wiedząc, że wdzięczność jest najmniej trwałą z cnót i stale trzeba dawać nowe prezenty. Zadbał zwłaszcza o ugłaskanie Timmony Portelli, niebezpiecznego z powodu swoich dziwactw i zamiłowania do niepotrzebnych czasem morderstw.

To, w jaki sposób Timmonie Portelli udało się ujść cało z nalotu FBI w latach dziewięćdziesiątych, stanowiło dla wszystkich zagadkę. Urodził się bowiem w Ameryce i brakowało mu wyrafinowania, był człowiekiem nieostrożnym i niepohamowanym, o wybuchowym usposobieniu. Miał ogromny brzuch i ubierał się jak palermeński *picciotto*, młody uczący się rzemiosła zabójca,

barwnie i w jedwabie. Jego potęgą opierała się na dystrybucji zakazanych narkotyków. Nigdy się nie ożenił i w wieku pięćdziesięciu lat wciąż był nierozważnym kobieciarzem. Prawdziwą miłość okazywał tylko młodszemu bratu Brunonowi, który sprawiał wrażenie nieco opóźnionego w rozwoju, ale był równie brutalny jak starszy brat.

Don Aprile nigdy nie ufał Portelli i rzadko robił z nim interesy. Ten człowiek bowiem był niebezpieczny z powodu braku charakteru, należało go więc uczynić nieszkodliwym. Wezwał Timmonę Portellę na spotkanie.

Mafios przybył z bratem. Aprile przyjął ich ze zwykłą u niego kurtuazją, ale szybko przystąpił do rzeczy.

— Mój drogi Timmono. Wycofuję się ze wszystkich interesów z wyjątkiem moich banków. Teraz znajdziesz się na widoku publicznym i musisz być ostrożny. Gdybyś kiedyś potrzebował rady, zwróć się do mnie, bo nawet na emeryturze nie będę zupełnie pozbawiony możliwości.

Bruno — mała kopia zwalistego Timmony — w którym sława don Aprilego wzbudzała lęk, uśmiechnął się z zadowoleniem na myśl o tym, jak szanowany jest jego starszy brat. Lecz Timmona znacznie lepiej zrozumiał te słowa. Wiedział, że don Aprile go ostrzega.

Skinął z uszanowaniem głową i odparł:

— Zawsze najlepiej z nas wszystkich oceniałeś sytuację. I szanuję twoją decyzję. Możesz liczyć na moją przyjaźń.

— Bardzo dobrze — rzekł don. — A teraz proszę, byś w nagrodę przyjął tę oto przestrożę. Ten Cilke z FBI to bardzo przebiegły człowiek. Nie ufaj mu w żaden sposób. Jest upojony sukcesem, a ty będziesz jego następnym celem.

— Ale ciebie i mnie nie dostał, mimo że doprowadził do upadku wszystkich naszych przyjaciół — zauważył Timmona. — Nie boję się go, ale dziękuję za ostrzeżenie.

Wypili ceremonialnego drinka i bracia Portella wyszli. W

samochodzie Bruno powiedział:

— Cóż za wspaniały człowiek.

— Tak — potwierdził Timmona. — Był wspaniałym człowiekiem.

Jeśli chodzi o don Aprilego, był zadowolony. Widział twogę w oczach Timmony i miał pewność, że nie będzie już więcej stanowił zagrożenia.

Don Aprile poprosił Kurta Cilkego, szefa FBI w Nowym Jorku, o spotkanie na osobności. Z zaskoczeniem stwierdził, że w duchu podziwia tego człowieka. Cilke posłał większość mafijnych bossów ze Wschodniego Wybrzeża za kratki i niemal całkowicie rozbił ich potęgę.

Don Raymonde Aprile wymknął się Cilkemu, gdyż znał tożsamość jego tajnego informatora, tego, który umożliwił mu odniesienie sukcesu. Ale jeszcze bardziej podziwiał Cilkego za to, że ten człowiek zawsze grał czysto, nigdy nie próbował niczego knuć ani stosować zmasowanych szykan, nigdy nie nadawał rozgłosu powiązaniom rodzinnym jego dzieci. Tak więc don Aprile uznał, że należy go teraz ostrzec.

Spotkanie odbyło się w wiejskim domu dona w Montauk. Cilke musiał przyjechać sam — z pogwałceniem zasad Biura. Dyrektor FBI zaaprobował to osobiście, ale nalegał, by Cilke wykorzystał specjalne urządzenie nagrywające, wszczepione w ciało poniżej klatki piersiowej, którego nie byłoby widać na tułowi; było znane wyłącznie specjalistom, a jego produkcja odbywała się pod ścisłym nadzorem. Cilke zdawał sobie sprawę, że prawdziwym celem podsłuchu jest zarejestrowanie tego, co on sam powie don Aprilemu.

Spotkali się w złociste październikowe popołudnie na